

Niech Moc będzie z tobą....

Niewielu kinomanów stwierdziłoby zapewne, że nie wie, skąd pochodzi to zdanie. Od roku 1977, gdy pierwszy epizod gwiazdnej epopei trafił do kin, ta pasjonująca opowieść zdołała podbić wyobraźnię milionów ludzi na całym świecie. Dziś, gdy na ekrany trafia epizod nr 7, "Gwiezdne wojny" to świetnie prosperujący zespół intratnych przedsiębiorstw, które zarabiają już nie tylko na samych filmach, ale także na mnóstwie gadżetów z nimi związanych, a także licznych powieściach, opisujących dalsze losy głównych bohaterów sagi.

Fabula poszczególnych odcinków, która – jak zresztą przyznają twórcy – jest stosunkowo prosta, zainspirowana klasycznymi motywami pochodzącymi z westernów i filmów przygodowych, zostaje przeniesiona w inny czas i miejsce, "do pewnej odległej galaktyki". Zważywszy liczbę filmów z gatunku science-fiction, zalewającą obecnie rynek filmowy, niezwykła popularność gwiazdnej sagi może dziwić. Co sprawia, że fankluby "Gwiezdných wojen" gromadzą takie rzesze spragnione uczestnictwa (choćby jedynie wirtualnego) w nigdy niekończącej się konfrontacji między zwolennikami Republiki ("jasna strona Mocy") oraz Imperium ("ciemna strona Mocy")?

Trzeba przyznać, że dla każdego amatora fantastyki naukowej pierwszy odcinek "Gwiezdných wojen" z końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, zatytułowany "Nowa nadzieja", był absolutnym objawieniem. Mimo raczkującej jeszcze wtedy technologii komputerowej, galaktyczny świat na ekranie wydawał się być niezwykle realistyczny. To właśnie to niemalże doskonałe złudzenie rzeczywistości odróżniało film Georga Lucasa od wszystkich innych filmów tego gatunku, w których futurystyczne urządzenia, pojazdy i technologiczne wynalazki wydawały się rażąco sztuczne, sterylne i zupełnie nierzeczywiste. Nie ulega wątpliwości, że ta aura alternatywnego uniwersum, które wprawdzie znajduje się "w jakiejś odległej galaktyce", ale jednocześnie wydaje się być tak bliskie i atrakcyjne, sprawiała, że kolejne części sagi przyjmowane były z entuzjazmem, przynajmniej przez nieustannie powiększającą się grupę oddanych fanów. Jak w każdym dobrym westernie, ostatecznie w każdym odcinku "Gwiezdných wojen" zwycięża dobro, chociaż już w następnym odcinku okazuje się, że nie jest to zwycięstwo trwałe. Ten prosty schemat, powiązany z wykorzystaniem do realizacji poszczególnych scen coraz to bardziej wyrafinowanej techniki komputerowej, wydają się być pewną receptą na sukces całej produkcji. Liczby zdają się to

potwierdzać: tylko w pierwszym dniu premiery siódmej części "Gwiezdnych wojen" zwróciły się koszty jego produkcji, a przewidywane zyski sięgają sumy 200 mld dolarów.

Mimo tych niewątpliwych atutów gwiazdnej sagi jako całości, "Przebudzenie mocy" – bo tak nazywa się jej siódmy epizod, ostatecznie rozczarowuje. Kto oczekiwał jakiejś nowej jakości, ma po wyjściu z kina mieszane uczucia. Wiele scen przypomina motywy z poprzednich części, poczynsz od zmagania z (tym razem kilkakrotnie już większą) "gwiazdą śmierci", poprzez dosyć szablonowo nakreślone postacie reprezentujące "ciemną stronę Mocy", aż po sceny pojedynków na miecze świetlne, uciezek i pościgów, do bólu przypominające ujęcia z poprzednich epizodów. Postaciom brakuje wyrazistości, a rozwój akcji jest łatwo przewidywalny. Jedynym, co może zafascynować widza, jest to samo, co przed z górą trzydziestu laty, mianowicie odczucie realizmu całej historii, jeszcze bardziej podkreślone przez użycie najnowszej techniki komputerowej.

Krytyczne uwagi pod adresem nowej odsłony "Gwiezdnych wojen" nie zrażą zapewne oddanych fanów gwiazdnego uniwersum, w którym "dobrzy" usiłują rozpaczliwie przywrócić równowagę Mocy, podczas gdy "źli" próbują użyć jej ciemnej strony, by zapanować nad całą galaktyką. Zapewnie właśnie w elemencie religijnym tkwi jeszcze jeden powód popularności "Gwiezdnych wojen". Jak stwierdził J. J. Abrams, reżyser najnowszego odcinka, dla wielu widzów jest to nie tylko film, ale wręcz religia. W tle każdego z siedmiu dotychczasowych filmów (a dwa kolejne zostały już zapowiedziane na lata 2016 oraz 2019) pojawia się rzeczywiście motyw, który można by określić jako religijny, a którym jest właśnie owa tajemnicza Moc. Bohaterowie sagi twierdzą, że Moc związana jest ze wszystkim, co żyje. Mogłoby to wskazywać na jakąś boską istotę albo raczej bezosobową boską siłę. Obdarza ona wybrane przez siebie istoty nadzwyczajnymi możliwościami, pozwala im wpływać na myśli innych i dokonywać niezwykłych czynów, dobrych bądź złych. Moc jest bowiem siłą ambiwalentną, zawierającą w sobie zarówno elementy dobra, jak i zła, mającą swoją jasną, ale i ciemną stronę. W walce, jaką toczą bohaterowie sagi, chodzi nie tyle o zniszczenie zła, ile o przywrócenie równowagi owej Mocy.

Trudno się dziwić, że w świecie, który z jednej strony coraz bardziej chce uchodzić za świecki i areligijny, a z drugiej w żaden sposób nie potrafi wyzbyć się religijnego głodu, taka nieco ezoteryczna wizja boskiej Mocy może mocno przemawiać do wyobraźni.

Imię Boga - Miłosierdzie

"Miłosierdzie to imię Boga" – to tytuł kolejnego wywiadu-rzeki papieża Franciszka, przeprowadzonego tym razem przez znanego włoskiego pisarza i dziennikarza katolickiego Andreego Torniello. Jest to niewątpliwie kolejna podjęta przez papieża próba przybliżenia idei Jubileuszu Miłosierdzia. Nie chodzi jednak tylko o zaspokojenie ciekawości i wyjaśnienie tła, inspiracji i zamysłu, towarzyszących papieżowi w podejmowaniu decyzji o ogłoszeniu tego nadzwyczajnego jubileuszu. Nie ma on być przecież jedynie kolejną akcją duszpasterską, ale przypomnieniem czegoś, co stanowi samo centrum Ewangelii.

Ogłaszanie Bożego miłosierdzia to przecież samo centrum kerygmatu, czyli tego, co najistotniejsze w głoszeniu Dobrej Nowiny. Jest to sedno nauczania Jezusa, a dla Franciszka, jak sam wyznaje, jest to *najmocniejsze przesłanie Pana*. Papież nie odkrywa przy tym czegoś, co do tej pory miałoby być w Kościele niedocenione i zaniedbane. Świadomie stawia siebie w szeregu ostatnich następców św. Piotra, począwszy od Jana XXIII, i przywołuje ich nagłące nawoływania do zwrócenia się ku Bogu, który jest bogaty w miłosierną miłość. Czyni to oczywiście w swoim niepowtarzalnym stylu, z latynoską żarliwością i silnymi emocjami, posługując się barwnym i obrazowym, a przy tym zwyczajnym i przystępnym językiem.

Stare i znane wszystkim wierzącym prawdy rozbłyskują nowym blaskiem, gdy papież podkreśla, że to właśnie grzech jest przestrzenią, w której dochodzi do spotkania z miłosierdziem Jezusa. Nie oznacza to i nie może oznaczać bagatelizowania grzechu. Kościół musi potępić grzech, bo musi mówić prawdę. Ale jednocześnie powinien przytulić osobę, która uważa się za grzesznika i ogłosić jej z mocą wielkie Boże miłosierdzie. Kościół nie jest na świecie po to, by potępiać, lecz by umożliwić każdemu człowiekowi spotkanie z tą przenikającą do głębi Bożą miłością. Kościół ma uzmysłwić ludziom, że nie ma takich sytuacji, z których nie można się podnieść; dopóki człowiek żyje zawsze istnieje szansa rozpoczęcia od nowa. Przywołując swój charakterystyczny obraz Kościoła jako szpitala polowego, Franciszek podkreśla, jak ważna jest "medycyna pierwszej pomocy", szybka interwencja by toczący walkę nie umierali. Najbliższym takim szpitalem, udzielającym pomocy tym, którzy się źle mają, jest rodzina. Jak zaznacza Franciszek, jest ona *pierwszą szkołą dla dzieci, niezbędnym punktem odniesienia dla młodych, najlepszym schronieniem dla starszych*.

Papież nie jest pięknoduchem i wie, że chociaż miłosierdzie Boże jest nieskończone, to człowiek może je po prostu odrzucić. Dlatego z niezwykłą żarliwością Franciszek zaprasza do dania Bogu szansy obdarowania nas swoim miłosierdziem. Bogu wystarczy już nie tylko

zdecydowany krok w Jego stronę, ale samo nawet przyznanie się do niemocy, by go wykonać. Takim nieodzownym krokiem w stronę Boga jest przyjęcie sakramentu pokuty. Dla polskiego katolika zachęty papieża dotyczące spowiedzi nie będą niczym nowym i dziwnym. Jednak można sobie wyobrazić, że dla katolików mieszkających w krajach, gdzie od dawna konfesjonały służą za miejsce przechowywaniamioteli i wiader do mycia kościelnej posadzki, może to być wyzwanie.

Zapewne nie brak będzie osób podchodzących do wywiadu z papieżem Franciszkiem poprzez pryzmat dyskusji związanej z ubiegłorocznym synodem dotyczącym rodziny, szczególnie w kontekście postulatów zmiany dyscypliny kościelnej wobec osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Kto oczekuje tego typu wypowiedzi, tego spotka rozczarowanie, nie tylko dlatego, że Andrea Tornielli już we wstępie odżegnuje się od wszelkiej taniej sensacji w tym temacie, ale także dlatego, iż sam Franciszek zdaje się zakładać istnienie sytuacji w których spowiednik nie może udzielić penitentowi rozgrzeszenia. Boże miłosierdzie nie ma więc być równoznaczne z nakazem rozgrzeszania każdej osoby, bez żadnej różnicy. Ma się ono wyrażać w tym, by nikt nie czuł się odrzucony. Spowiednik, jak podkreśla z naciskiem papież, powinien wysłuchać cierpliwie także osób, których nie może rozgrzeszyć, powinien podtrzymać ich nadzieję, zapewnić o Bożej miłości, wyjaśniając powody, dla których rozgrzeszenie nie może zostać udzielone.

By Boże miłosierdzie było na nowo docenione i przyjęte, trzeba, jak nawołuje Franciszek, wyjść ku tym, którzy są daleko. Dla papieża Franciszka wyjście Kościoła ku wykluczonym jest niezbędne i musi zastąpić postawę biernego oczekiwania na ich powrót. Nie może to wprawdzie oznaczać *pozwolenia wilkom na wejście do stada*, ale jest niezbędne. Żarliwy apel o nowy wysiłek ewangelizacyjny o wyjście w stronę tych, którzy są daleko, jest jedną z charakterystycznych cech tego pontyfikatu i tym, co kiedyś pozostanie w pamięci Kościoła po papieżu z Argentyny: *Trzeba skoczyć w ciemność, w noc, którą przemierza tak wielu naszych braci. Nauczyć się nawiązywać z nimi kontakt, pozwolić im odczuć naszą bliskość, nie pozwalając jednocześnie, by ciemność ta otoczyła nas i byśmy się stali od niej zależni.*

Marzec 2016

"Nie ma nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione" (Łk 8,17)

Kuriozalne okoliczności ujawnienia dokumentów ukrywanych przez generała Czesława Kiszczaka nie są w stanie zmienić faktu, że ich publikacja jest niewątpliwie jednym z najważniejszych wydarzeń współczesności. Zmuszają one bowiem do głębokiej rewizji najnowszej historii Polski. Wydarzenie to ma różne wymiary.

Najpierw jest ono związane z osobistą tragedią Lecha Wałęsa, tragedią, do której były prezydent Rzeczypospolitej sam się, jak się wydaje, przyczynił. Nie wolno oczywiście zapominać o tych, którzy w tamtym czasie zaprzegli cały aparat inwigilacji i represji, jakim dysponowało totalitarne państwo, do wpłatywania ludzi w sieci zależności, do łamania ludzkich sumień, do konstruowania siatek płatnych konfidentów, pozwalających kontrolować społeczeństwo i represjonować opozycjonistów. Wałęsa jest niewątpliwie ofiarą tych działań. Jest jednak także sprawcą. Rozmiary jego współpracy z peerelowskim aparatem bezpieczeństwa, jakie wyłaniają się z ujawnionych dokumentów, są przygnębiające. Nie ulega wątpliwości, że trzeba się strzec, by nie ferować ostatecznych wyroków przed dokładnym zbadaniem dokumentów przez specjalistów. Wiele jednak wskazuje na to, że podnoszone już dawniej zarzuty przeciwko przywódcy "Solidarności" okażą się, niestety, prawdziwe. Ostatecznie Lecha Wałęsę będzie sądził Bóg. Mimo to ludzie mają prawo do prawdy - także do prawdy o ludziach, których aktywność naznaczyła dogłębnie losy naszego kraju.

W tej historii jest jeszcze drugi wątek - społeczny. Dokumenty zgromadzone przez Kiszczaka sprawiają, że podejrzenia o istnieniu "układu", który rządzi Polską, wyśmiewane jako teorie spiskowe oparte na fobiach i resentymentach, uzyskały zaskakujące potwierdzenie. W świetle ujawnionych dokumentów wyłania się obraz zależności i wpływów, które przez ostatnie ćwierć wieku kształtowały scenę polityczną w Polsce. A wszystko w tle, bez kontroli opinii publicznej, pod szyldem demokratycznych struktur i polityków, wpłatanych w uzależnienie od dawnych mocodawców, bądź też bardziej czy mniej jawnie im sprzyjających. Ktoś, kto do tej pory mniej czy bardziej dawał wiarę mediom głównego nurtu, musi czuć się boleśnie oszukany.

To odsłonięcie prawdy o kulisach procesu odzyskania niepodległości i transformacji ustrojowej jeszcze raz pokazuje, że budowanie społeczeństwa na kłamstwie prędzej czy później musi doprowadzić do katastrofy. Ktoś, kto buduje struktury państwa na zakłamywaniu historii, nie może liczyć na to, że kłamstwo pójdzie w niepamięć, że upływ czasu przefiltruje niejako moralne zło, rozwodni fałsz i sprawi, że zbudowana na nim struktura społeczna stanie na mocnym fundamencie. Wręcz przeciwnie, z biegiem czasu potrzeba coraz to więcej zabiegów, by utrzymać fikcję, by uwiarygodnić kłamliwą narrację. Kto buduje życie społeczne

na kłamstwie podobny jest do człowieka, który połasił się na bardzo niekorzystnie oprocentowany kredyt w obcej walucie: koszty jego obsługi rosły w zastraszającym tempie i ostatecznie dochodzi do finansowej zapaści.

Spór o fundamenty III RP już od ćwierćwiecza dzieli Polskę, staje się przyczyną wzajemnych oskarżeń, sprawia, że siły i zdolności wielu Polaków są marnotrawione, rozwój Polski dokonuje się znacznie wolniej i jest naznaczony dramatycznym pęknięciem społeczeństwa. Fronty są tak zapieczone, że pojednanie wydaje się niemalże niemożliwe, chociaż wszyscy do niego wzywają i uznają jego konieczność.

Nie ulega wątpliwości, że prawdziwego pojednania nie da się zbudować na zakłamywaniu historii, gdyż będzie ono wtedy pozorne i krótkotrwałe. Jednak dla człowieka wierzącego fakt, że ta bolesna rewizja najnowszej historii Polski ma miejsce w roku miłosierdzia, nie może być bez znaczenia. Odsłonięcie prawdy i ujawnienie zakłamania to jedynie pierwszy krok i jeśli nie będą mu towarzyszyły następne, zło jeszcze bardziej zatryumfuje, niszcząc doszczętnie tkankę społeczną. Dlatego, chociaż wydaje się to naiwne, a nawet wręcz niesprawiedliwe i nieuprawnione, trzeba mówić o przebaczeniu. Ostatecznie jedynie ono pozwala zabić rany, jak to było w czasach wielkich wojen, rodzących przepastne morze ludzkich krzywd. Przy całym słusznym żądaniu usunięcia zakłamania, katolicy powinni włączyć się - także w tej sprawie - w pragnienie papieża Franciszka, który w bulli *Misericordiae vultus* otwierającej nadzwyczajny jubileusz miłosierdzia, napisał: *Bardzo pragnę, aby nadchodzące lata były przepełnione miłosierdziem i byśmy wychodzili na spotkanie każdej osoby, niosąc dobroć i czułość Boga* (nr 5).

Kwiecień 2016

Żył na pełnej petardzie

To i wiele innych niekonwencjonalnych powiedzonek i bon motów pozostanie po śp. ks. Janie Kaczkowskim. Jego życie zgasiło po zaledwie trzydziestu ośmiu latach w drugi dzień Wielkanocy. Gdy przebiega się myślą poszczególne etapy krótkiego, ale niezwykle intensywnego życia tego człowieka, który w ciągu zaledwie kilku lat stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich duchownych, ma się ochotę odnieść do jego osoby wersy z Księgi Mądrości, które wskazują na to, że można, żyjąc krótko, "przeżyć czasów wiele" (por. Mdr 4,13). Szczególnie intensywny był ostatni czas jego życia, od momentu, kiedy

usłyszał diagnozę o śmiertelnej chorobie i dowiedział się, że maksymalny czas przeżycia z glejakiem mózgu waha się w granicach dwóch lat.

Chociaż właśnie fakt, że ma raka, uczynił ks. Jana, jak sam z humorem twierdził, "onkocelbrytą", to jednak już wcześniej dał się poznać jako osoba obdarzona niezwykle talentami. Mimo poważnych kłopotów ze zdrowiem, z powodzeniem radził sobie w szkole, mimo że jego najbliższe otoczenie, o czym otwarcie mówił, było arelegijne czy wręcz ateistyczne, wstąpił do seminarium duchownego. Nie bez trudności wyświęcony na kapłana ze względu na głęboką wadę wzroku, szybko stał się kimś w rodzaju "figury ojca" dla trudnej młodzieży. Właśnie w tych szkołach, w których praca katechetyczna nigdy nie należała do łatwych, on czuł się jak ryba w wodzie. Młodzież określana jako trudna nie tylko lgnęła do niego, ale dała się przekonać do wolontariatu w puckim hospicjum, które stało się dziełem jego życia. Ks. Kaczkowski był nie tylko jego inicjatorem i budowniczym, ale nade wszystko aktywnym duszpasterzem, towarzyszącym osobom umierającym. Do końca też organizował fundusze, głosząc w kościołach, jak to dowcipnie nazywał, "kazania żebracze".

Na czym polega "to coś", czym śp. ks. Jan tak zjednywał sobie ludzi i to również takich, którzy podchodzili do Kościoła z ogromnym dystansem? Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest oczywista. Z jednej strony został pozbawiony wielu naturalnych atutów, na których inni budują poczucie własnej wartości: miał mocno upośledzony wzrok, był dotknięty częściowym paraliżem, który utrudniał chodzenie, miał wadę wymowy, później doszły do tego jeszcze komplikacje związane z chorobą nowotworową. Z drugiej strony wyróżniała go niewątpliwie błyskotliwa inteligencja i specyficzne poczucie humoru oraz umiejętność znajdowania trafnych ripost. Przede wszystkim jednak ujął wielu ludzi swoją szczerością, pogodnym usposobieniem, otwartością i solidarnością z chorymi, która była tym bardziej wiarygodna, bo sam był jednym z nich. Nie sprawiał przy tym wcale wrażenia cierpiénika, ale wręcz przeciwnie: był człowiekiem realizującym swoje zamierzenia i marzenia z wielkim optymizmem i energią. Ze wszystkim swoich naturalnych braków umiał uczynić atuty.

Swoje kapłaństwo traktował poważnie i przeżywał je z lekkim przedsoborowym akcentem. Chodził często w sutannie i kapłańskim birecie, bliżej mu było, jak twierdził, do Benedykta XVI, niż do papieża Franciszka. Ale jednocześnie nie miał żadnych oporów z wchodzeniem w środowiska, które nie uchodziły za życzliwe Kościołowi, co miano mu czasem za złe. Nie stronił także od publicznej krytyki ludzi wierzących i Kościoła jako instytucji, która nie zawsze była wyważona i mogła być bolesna. Zapewne był tego świadom, gdyż przed śmiercią zarówno zadeklarował wybaczenie wszystkim, przez których poczuł się kiedykolwiek

dotknięty, jak też wypowiedział prośbę o wybaczenie skierowaną do wszystkich, którzy mogli poczuć się zranieni jego wypowiedziami, co zostało wspomniane w homilii pogrzebowej. Nie zawsze też można było podzielać jego sympatie i antypatie polityczne, którym czasami dawał publiczny wyraz.

Nie ulega jednak wątpliwości, że bilans jego życia jest niezwykle pozytywny. Po Janie Kaczkowskim pozostanie niezwykle pozytywne wspomnienie dobrego księdza, który mimo poważnych wrodzonych ograniczeń potrafił przeżyć godnie swoje krótkie życie, obdarzając innych swoim humorem, swoim doświadczeniem wiary, a nade wszystko swoją posługą kapłańską, którą był gotów sprawować także w niekonwencjonalny sposób.

Jak w pigułce osobowość zmarłego ks. Jana Kaczkowskiego oddaje fragment z jego ostatniej książki pt. "Grunt pod nogami", zawierającej zbiór jego kazań. Dotyczy on udzielania sakramentu chorych umierającym: *Czasem, kiedy moi pacjenci słyszą, że udzielam im tego sakramentu w niebezpieczeństwie śmierci, przeszywa ich strach. Żeby rozładować atmosferę, mówię: "Pani Grażyno, teraz już jest pani tak chroniona, że z kopytami do nieba bez żadnych przystanków". Czego państwu i sobie życzę.*

Maj 2016

Radość płynąca z miłości

Diametralnie różne reakcje na podpisaną 19 marca 2016 r. przez papieża Franciszka adhortację *Laetitia amoris* (*Radość miłości*) mogą wskazywać na wieloznaczność jej przesłania. Dokument ten jest zwieńczeniem procesu synodalnego, zainicjowanego przez papieża przed dwoma laty. W jego trakcie w 2014 i 2015 r. odbył się dwuczęściowy synod biskupów dotyczący rodziny. Zainteresowanie i różne komentarze, jakie towarzyszyły publikacji sprawozdań synodalnych, świadczą o tym, jak bardzo tematyka poruszana na synodzie jest w dyskusji medialnej „gorącym żelazem”, którego nie sposób dotknąć bezkarnie, unikając zajęcia wyraźnego stanowiska.

Lektura całości niezwykle obszernej (325 paragrafów, które w polskim wydaniu zajmują niemalże 270 stron!) adhortacji *Laetitia amoris* skłania do kilku uwag. Pierwsza dotyczy języka adhortacji. Papież Franciszek przyzwyczaił nas już do innego języka, jakiego zazwyczaj oczekuje się do dokumentów i wypowiedzi Magisterium Kościoła. I trudno czynić mu z tego powodu zarzuty, zważywszy dotychczasowe narzekania, że dokumenty Kościoła były zazwyczaj pisane

niejako „do szuflady”, hermetycznym językiem, niezrozumiałym dla kogoś, kto nie ma przygotowania teologicznego. Jak stwierdził papieski teolog, o. Wojciech Giertych OP, najnowsza adhortacja papieża Franciszka to (od strony językowej) raczej „pogaduszki”, refleksje typowo pastoralne, pełne czułości, dobroci i troski. Nie oznacza to banalności, gdyż papież porusza wiele istotnych zagadnień z codziennego życia rodzin i czyni to faktycznie z niezwykle głęboką znajomością faktycznych problemów i kłopotów. Udziela wiele praktycznych rad, wyraża autentyczną bliskość Kościoła i zapewnia o miłosiernym spojrzeniu Boga na wszystko, co w życiu rodzinnym niedokończone i kruche. I to jest niezaprzeczalnie wielkim atutem *Laetitia amoris*. Nie ulega wątpliwości, że dokument ten może być czytany z wielkim pożytkiem nawet przez intelektualnie najmniej wymagających czytelników i tak zapewne został przez papieża zamierzony.

Druga obserwacja dotyczy jego charakteru doktrynalnego. Adhortacja jako taka nie należy wprawdzie do nieomylnego nauczania papieskiego, chociaż jest wyrazem zwyczajnego, a więc także obowiązującego Magisterium. Papież wielokrotnie podkreśla w swoim dokumencie, że nie zamierza dokonywać zmiany nauczania Kościoła, a chodzi mu raczej o pastoralną praktykę, która może i powinna być zmodyfikowana, zwłaszcza w odniesieniu do tzw. sytuacji nieregularnych.

W tym miejscu nasuwa się trzecia uwaga, dotycząca tematyki, która – chociaż zajmuje zaledwie kilka stron w całym dokumencie – ze zrozumiałych względów wzbudziła największe zainteresowanie. Chodzi oczywiście o duszpasterstwo osób żyjących w powtórnych związkach po rozpadzie sakramentalnego małżeństwa i cywilnym rozwodzie. Generalny tenor papieskich refleksji niewątpliwie mieści się w obowiązującym nauczaniu Kościoła. Mnogość odniesień do wypowiedzi Jana Pawła II i Benedykta XVI zdają się to potwierdzać. Franciszek zaznacza także, że *nie należy oczekiwać od tej adhortacji nowych norm ogólnych typu kanonicznego, które można by stosować do wszystkich przypadków* (nr 300). Głównym tenorem rozdziału VIII, który traktuje o towarzyszeniu, rozpoznawaniu i *włączaniu tego, co kruche* w życie Kościoła jest właśnie pastoralna troska, koncentrująca się na pojedynczych sytuacjach, a nie na ogólnych normach, które pozostają niezmiennie. Problem w tym, że duszpasterstwo, które nie jest świadome pewnych podstawowych zasad, jakie w wydanej w 1981 r. adhortacji *Familiaris consortio* jasno sformułował św. Jan Paweł II, będzie zdane na zmienne decyzje poszczególnych duszpasterzy. *Rozmowa z księdzem na forum wewnętrznym* (nr 300), która zgodnie z *Laetitia amoris* ma prowadzić do rozeznania i odróżniania różnych sytuacji, może niewątpliwie być pomocna w zrozumieniu przez osoby znajdujące się w sytuacjach

nieregularnych nauki Kościoła i służyć doświadczeniu tego, że nie są one odrzucone, ekskomunikowane czy pozostawione samym sobie. Na pytanie jednak, czy może oznaczać to dopuszczenie ich w niektórych przypadkach do sakramentów, adhortacja nie udziela jasnej i jednoznacznej odpowiedzi. Dla jednych z tekstu *Laetitia amoris* wyłania się taka właśnie sugestia, inni natomiast podkreślają, że praktyka Kościoła w tej materii się nie zmieniła. I obie strony mogą na poparcie swojego stanowiska przytoczyć liczne cytaty z dokumentu. I to zapewne – przy całym uznaniu niewątpliwej wartości najnowszego dokumentu papieża Franciszka – jest największą słabością *Laetitia amoris*. Od papieża można oczekiwać nie tylko stawiania właściwych pytań i analizy różnych sytuacji, ale też udzielania jasnych odpowiedzi płynących z wiary. Szkoda, że w najnowszej adhortacji zabrakło tej jednoznaczności, jaka cechuje wypowiedzi papieża Franciszka odnoszące się do kwestii ubóstwa, sposobu życia kapłanów czy też ekologii.

Czerwiec 2016

Po co są święci?

Niezwykle liczny poczet świętych i błogosławionych, którzy zostali wyniesieni na ołtarze w ostatnich dziesięcioleciach sprawia, że nikt się zbytnio nie ekscytuje kolejną beatyfikacją i kanonizacją. Na odrobinę zainteresowania mogą mimo to liczyć ci, którzy związani są z naszą historią, z którymi się identyfikujemy i którzy przez to w jakiś sposób są nam bliscy. Dotyczy to na pewno beatyfikowanych w końcu 2015 r. męczenników franciszkańskich z Pariacoto w Peru, o. Zbigniewa Strzałkowskiego oraz o. Michała Tomaszka, ale także kanonizowanego w czerwcu 2016 r. o. Stanisława Papczyńskiego, założyciela pierwszego powstałego na ziemiach polskich zakonu męskiego, Zgromadzenia Księżów Marianów.

Każda taka beatyfikacja czy kanonizacja prowokuje do refleksji nad tym, czy istnieją jakieś charakterystyczne cechy, znamiona czy rysy charakteru człowieka świętego? Kim są święci? Na pierwszy rzut oka nie sposób odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Byli i są to ludzie tak bardzo różniący się od siebie pod względem temperamentów, upodobań i osobowości, że wydaje się, iż nie można wskazać na nic, co miałoby ich łączyć. Bo też świętość nie polega na tym, że człowiek nabywający ją zostaje "przystrzyżony" duchowo i charakterologicznie według jakiegoś wcześniej założonego szablonu, zglajchszaltowany, udomowiony, ugrzeczniony.

Święci są zawsze dziećmi swoich czasów, noszą w sobie zalety i wady, a także mentalność społeczności, z których się wywodzą. A jednak istnieje coś, co ich łączy, chociaż te wspólne elementy zawsze są ubrane w indywidualne szaty każdej i każdego z nich. A więc jeszcze raz: kim są święci?

Święci to **rebelianci**. Ich rebelia pokazuje się przede wszystkim w pewnych cechach stylu życia. Oni żyją inaczej, jakby według innych reguł i innej miary, kontestując nierzadko wartości, które dla ich współczesnych są niezwykle istotne. Zazwyczaj chodzi tutaj o wartości, które nie wyrastają z Ewangelii, a koncentrują się całkowicie na tym, by więcej mieć, więcej znaczyć i więcej przeżyć. Ale ich rebelia dotyczy czasem także Kościoła. Chociaż niezmiennie cechą świętych jest miłość do Kościoła, to jednak nie cofa się ona przed stawianiem niewygodnych pytań i wprawianiem swoim życiem w zakłopotanie tych, którym powierzono w Kościele jakiś urząd, odpowiedzialność czy władzę duchową, a którzy zapomnieli o tym, co w Kościele jest najistotniejsze.

Po drugie – święci to urodzeni **przewodnicy**. I wcale nie chodzi o zdolności przywódcze czy też szczególną wiedzę czy inteligencję. Chodzi o zdolność przyciągania. Święci fascynują właśnie swoim alternatywnym stylem życia, pociągają, skłaniają do autorefleksji, nawrócenia i zmiany życia. Święci są piątą Ewangelią, są żyjącymi dowodami na to, że królestwo Boże nie jest jedynie ideą, filozofią, zestawem prawd czy reguł, ale że jest Mocą przemieniającą życie.

I wreszcie święci to **grzesznicy**. To zestawienie wydaje się być na pierwszy rzut oka sprzeczne samo w sobie, gdyż według utartego mniemania święty nie grzeszy, a grzesznik nie jest świętym. Tymczasem święci to ludzie będący w drodze, naznaczeni nie tylko dawnymi upadkami, gdyż wielu z nich to ludzie "po przejściach", ale także niedoskonałościami, które towarzyszą im do kresu ich ziemskich dni. Tym jednak, co ich odróżnia od innych grzeszników jest radykalna niezgoda na swój własny grzech i owo tak charakterystyczne poderwanie się do walki o dobro, niezależnie od tego, ile to by ich miało kosztować.

Beatyfikacje i kanonizacje nie są jakimiś tryumfalistycznymi celebracjami, ociekającymi pobożnym lukrem. Jest to radosne świętowanie faktu, że oznajmione przez Jezusa Chrystusa i przychodzące wraz z Nim i w Jego Osobie królestwo Boże jest czymś namacalnym, realnym, możliwym do osiągnięcia; że łaska Boża działa również w naszych społeczeństwach; że nie ma złych czasów i przegranych miejsc, ale wszędzie i zawsze może ukazać się Boża Moc. I właśnie po to są święci, by ciągle na nowo przełamywali sceptycyzm i zbytni racjonalizm chrześcijan, ich ugrzecznione wpasowanie się w mentalność nie zrodzoną z Ewangelii, a czasem wręcz wrogą Ewangelii, której nigdzie i nigdy w historii ludzkości nie brakowało. Życiowe historie

Bożych szaleńców od zawsze oddziaływały na wierzących i przynosiły błogosławione owoce. Dzięki temu szeregi błogosławionych i świętych ciągle są uzupełniane, a do kolekcji żywotów świętych dodawane są coraz to nowe tomy.

Lipiec 2016

Czy Bóg nie jest już sędzią sprawiedliwym?

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie formuły dotyczące prawd wiary, które są przyjęte i głoszone w Kościele, są niejako dziećmi swoich czasów. Prawdy wiary są uniwersalne, jednak ich słowna forma jest czasowa, powstała w określonym kontekście historycznym. Żadne formuły i wykazy tych prawd nie są też w stanie objąć całego bogactwa wiary, ale stanowią odpowiedź na pytania istotne dla wierzących okresu historii, w którym powstały. Stąd też od czasu do czasu pojawiają się w Kościele fale kontestacji, domagające się rewizji słownego kształtu i akcentów w nauczaniu prawd wiary. Szczególne podkreślanie Bożego miłosierdzia przez papieża Franciszka od początku jego pontyfikatu też spowodowało taką falę kontestacji. Jej wyrazem jest niezadowolenie z katechizmowego zestawu sześciu prawd wiary, które mają być rzekomo odpowiedzialne za wykrzywiony obraz Boga, a co za tym idzie - ponoszą główną winę za niechęć do katolickiej wiary. Zawierają one w sobie mianowicie prawdę, że *Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe każe*. W takim sformułowaniu tkwi, jak sądzą niektórzy reformatory, wizja Boga będącego podstarzałym i mściwym terrorystą z batem, wyposażonym dodatkowo w nieograniczoną wiedzę i prerogatywy. Oddala to ludzi od wiary, wywołując w nich lęk, który niszczy wszelkie zaufanie.

O słownych sformułowaniach można oczywiście dyskutować. Można by się niewątpliwie pokusić o taki retusz obowiązującego zestawu sześciu prawd wiary, by prawda o Bogu bogatym w miłosierdzie została mocniej wyakcentowana. Czy jednak oznacza to, że nie musimy już wierzyć w to, że Bóg jest *sędzią* i że dobro i zło mają z woli Bożej swoje błogosławione lub dramatycznie niszczące konsekwencje? Byłoby to wylaniem dziecka z kąpielą i tak samo wykrzywiłoby nasz obraz Boga, jak uczyniło to przesadne podkreślanie Bożego sądu.

Wystarczy spojrzeć na nauczanie Jezusa, a wtedy zobaczymy, że gdyby wyoperować z niego motyw sądu i kary za grzech, nauczanie Jezusa stałoby się niezrozumiałe. *A sąd polega na tym – mówi Jezus –, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność*

aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu (J 3, 19-21). Jezus stawia ludzi w sytuacji sądu: On jest światłem, które odsłania w całej prawdzie dramatyczną różnicę między dobrem a złem w ludzkim sercu i w świecie. Bez tego światła i tego Jezusowego sądu ludzie natychmiast zaczynają dobro nazywać złem, a zło dobrem. Wszystko staje się mniej czy bardziej odcieniem szarości i w końcu wielka szlachetność i wielka podłość to jedynie dwie równoważne opcje postępowania, których nie można i nie należy oceniać. Takiego chrześcijaństwa Jezus z pewnością nie chciał, gdyż przestałoby ono być solą ziemi i światłem świata, a stałoby się pobożnym cukrem-pudrem przysłaniającym stan świata zbudowanego na anty-ewangelii.

Co w takim razie z Bożym miłosierdziem? Miłosierdzie polega na tym, że Bóg nie chce czekać, aż człowiek sam posprząta ten dramatyczny nieporządek i w Jezusie Chrystusie wkracza w przydymiony świat dobrego zła i złego dobra, a więc moralnego zapętlania, w jakim znalazł się człowiek z własnej woli i winy. Wkracza i bierze na siebie wszystkie konsekwencje tego opłakanego stanu, aż do oddania swego życia. Miłosierdzie Boże nie cofa tego, że dobro niesie za sobą błogosławione owoce, a zło – karę w postaci lawiny nieszczęść. Miłosierny Bóg rzuca po prostu człowiekowi ostatnie koło ratunkowe, jakim jest Jezus. *Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony* (J 3,17).

Bóg miłosierny i Bóg dokonujący sądu – to jeden i ten sam Bóg. Nie ma prawdziwego miłosierdzia bez prawdy, jaka płynie z sądu Bożego nad światem. Nie istnieje Boży sąd, który byłby jakąś zemstą za grzech, a jedynie taki, który jest próbą zbawienia człowieka za cenę wydania Syna Bożego na śmierć, a więc – rzecz by można – za wszelką cenę.

Prawda o Bogu będącym sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze, oddycha całym dramatyzmem Ewangelii i dlatego w żaden sposób nie powinna zniknąć z zestawu głównych prawd wiary. Inaczej chrześcijaństwo stałoby się banalną opowieścią o tym, że wszyscy są fajni i dlatego wszystko może pozostać po staremu, a każdy może bez niepokoju jeść i pić, bo coś mu się przecież od życia należy. Prawda o Bożym sądzie i każe za grzech musi być oczywiście mocno wkomponowana w orędzie o jedynej drodze zbawienia, jaką jest Jezus Chrystus. I o tym, że czas się już skończył: teraz jest najlepszy i ostatni moment na podjęcie decyzji.

Mały, bliski i konkretny

Mimo licznych sceptycznych głosów, malujących najgorsze możliwe scenariusze wydarzeń, Światowe Dni Młodzieży w Polsce przebiegły nie tylko spokojnie i sprawnie, ale okazały się prawdziwym świętem wiary i wielkim wydarzeniem, wykraczającym daleko poza ramy Kościoła katolickiego. Nieudawany entuzjazm setek tysięcy młodych katolików ze wszystkich niemal zakątków ziemi udzielił się wszystkim, także tym, którzy sami z różnych powodów pozostali domach i nie wzięli udziału w żadnym z wydarzeń ŚDM, a jedynie „podglądali” je za pośrednictwem mediów. W czasie, gdy wszystkie te pozytywne emocje powoli opadają, warto sięgnąć raz jeszcze do papieskich wypowiedzi. Nawet ci, którzy podchodzą do słów Franciszka z pewnym dystansem, muszą przyznać, że papieskie homilie były znakomite. Chciałbym sięgnąć tu do przesłania, z jakim zwrócił się on do Polaków w Częstochowie w czasie dziękczynnej Mszy św. z okazji 1050 chrztu Polski. Spotkanie to odbyło się jakby na marginesie Światowych Dni Młodzieży, jednak właśnie ono, jak się wydaje, zawierało sedno papieskiego orędzia.

Chociaż Franciszek zapewne był doskonale zorientowany w aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w naszym kraju, w żaden sposób nie dał się wciągnąć w toczące się spory. Zamiast tego z jasnogórskich wałów popłynęło wezwanie do osobistego *wewnętrznego przejścia ku stylowi Bożemu*. Tak właśnie papież określił istotę nawrócenia na sposób życia wynikający z chrztu. Ucieleśnia się on w pielęgnowaniu trzech postaw, które powinny charakteryzować każdego chrześcijanina tak, jak charakteryzowały osobę Jezusa Chrystusa.

Pierwsza z nich to postawa małości, pokory. Postawa ta jest, rzecz by można, najsilniej kontrkulturowa, gdyż jaskrawo kontrastuje z tym, co dzisiaj uważa się za szczególnie wartościowe. *Pragnienie władzy, wielkości i sławy – mówi Ojciec święty - jest rzeczą tragicznie ludzką i jest wielką pokusą, która stara się wkraść wszędzie; dawać siebie innym, eliminując dystanse, pozostając w małości i konkretnie wypełniając codzienność – to subtelnie Boskie*. Wielu świętych, również wielu polskich świętych, było ludźmi prostymi, pozbawionymi bogactwa, starannego wykształcenia, wybitnej inteligencji i innych atutów, uważanych dzisiaj za niezbędne. Byli to po prostu ludzie mali, a przecież to właśnie oni zdołali w ciągu minionego tysiąclecia zbudować opartą na chrześcijańskich wartościach polską tożsamość narodową.

Drugą postawą jest postawa bliskości. Jezus głosił, że wraz z nim przybliżyło się królestwo niebieskie i w Nim Bóg pozostaje blisko ludzi, chce dzielić ich troski, zarówno indywidualne, jak i społeczne. Franciszek przypominał o nieustannej obecności Boga, który w tak czasami tragicznych zakrętach naszej historii, podążał z polskim narodem, *biorąc go za rękę i towarzysząc mu w wielu sytuacjach*. Bliskość jest czymś w rodzaju „cechy charakteru” Boga i powinna cechować także Jego wyznawców. Obdarzyć drugich, szczególnie potrzebujących, swoją bliskością, nie zamykać się w ciasnych ramach własnego egoizmu – to nieustanne wezwanie skierowane do każdego chrześcijanina.

I wreszcie trzecia postawa: być konkretnym. Historia zbawienia to nie tylko historia konkretnej zbawczej ingerencji Bożej w dzieje świata, ale historia konkretnych mężczyzn i kobiet, znajdujących się w konkretnych, nierzadko dramatycznych, sytuacjach, w których postawił ich Bóg. Jest to też historia konkretnych wyborów, jakich przyszło im dokonywać. Wiara nigdy nie wyczerpuje się w teoretycznych, ogólnych dywagacjach, ale zmierza do uzdolnienia człowieka, by mógł dokonywać dobrych wyborów w codzienności.

Pokora, bliskość, konkretność – na różne sposoby te postawy są widoczne w życiu wielu świętych, a szczególnie ukazują się w życiu Maryi. Jej poświęcił Franciszek w swojej homilii sporo miejsca. Jej zawierzył też polski naród. Na Nią wskazał, prosząc: *Niech Matka, mężna u stóp krzyża i wytrwała w modlitwie z uczniami w oczekiwaniu na Ducha Świętego, zaszczepli pragnienie wyjścia ponad krzywdy i rany przeszłości i stworzenia komunii ze wszystkimi, nigdy nie ulegając pokusie izolowania się i narzucania swej woli*. Nie ulega wątpliwości, że te ostatnie słowa zawierają pewne odniesienie do obecnej sytuacji społecznej w Polsce, sytuacji ostrego podziału, w ramach którego tożsamość każdej ze stron konfliktu budowana jest nierzadko poprzez pomniejszanie politycznych przeciwników. Słowa Franciszka nie są wprawdzie ani programem politycznym, ani też panaceum, dzięki któremu podział ten zniknie, są jednak niewątpliwie skierowanym do każdej Polki i każdego Polaka zaproszeniem do bardzo osobistego rachunku sumienia.

Wrzesień 2016

Święta od ciemności

Nie ulega wątpliwości, że kanonizacja Matki Teresy z Kalkuty należała do najważniejszych wydarzeń Nadzwyczajnego Jubileuszu Miłosierdzia. Ta albańska zakonnica

była bez wątpienia kimś wyjątkowym, nie mieszczącym się w żadnych klasycznych szablonach świętości, a jednocześnie kimś, kto niezwykle silnie oddziaływał i nadal oddziałuje na współczesnych ludzi, i to niezależnie od zapatrywań religijnych. Właśnie to niezwykle echo, jakie wywoływała jej osobowość i sposób życia bywa przywoływane jako miara jej wielkości i świętości. Stworzyła zgromadzenie zakonne, którego siostry pracują na całym świecie, niezmiennie poświęcając się najbiedniejszym z biednych. Byłoby jednak wielkim uproszczeniem, gdyby chcieć mierzyć jej wielkość liczbą umierających, których obdarzyła poczuciem godności w ostatnich chwilach ich życia, ilością jadłodajni i przytułków, które stworzyła, czy nawet armią wolontariuszy, których zainspirowała do służenia innym. Matka Teresa nie była po prostu działaczką socjalną, ale wielką, jeżeli nie największą mistyczką dwudziestego wieku. I właśnie głęboko duchowy charakter jej życia i zaangażowania czyni z niej kogoś wyjątkowego.

Jej świętość pokazywała się w klarownym powiązaniu w jedno postaw, które zazwyczaj uważa się za przeciwstawne: Matka Teresa była kimś niezwykle radykalnym, a zarazem kimś niezwykle łagodnym. Słowo „radykalny” nie ma dzisiaj dobrej prasy i w kontekście religijnym wielu ludziom kojarzy się z misjonarską gwałtownością i nachalnością, która stawia każdego spotkanego człowieka natychmiast w sytuacji wyboru, by zmusić go do zajęcia stanowiska i zależnie od jego odpowiedzi albo pochwalić i zaakceptować, albo odrzucić i potępić. Radykalizm Matki Teresy był inny. Jak to określił postulator w jej procesie kanonizacyjnym, ks. Brian Kolodiejchuk, Matka Teresa *miała bardzo silną osobowość. Potrafiła być zdecydowana i powiedzieć prawdę wprost, albo natarczywa, kiedy to było konieczne*. Kompletnie wolna od wszelkiej politycznej poprawności i względów ludzkich, potrafiła upominać się o prawa ubogich, szczególnie nienarodzonych, i jasno sprzeciwiać się aborcji, w czasie uroczystości z okazji wręczania jej prestiżowych nagród, czy też na forum międzynarodowych organizacji. Nawet jednak wtedy promieniowała od niej postawa, którą Biblia nazywa „duchem łagodności”. Ta łagodna miłość kazała uważnie słuchać jej słów nawet tym, którzy absolutnie nie podzielali jej poglądów.

Tym jednak, co absolutnie wyróżnia Matkę Teresę jest jeszcze inny szczegół jej duchowego życia, o którym świat dowiedział się dopiero po jej śmierci, gdy opublikowano jej korespondencję z kierownikami duchowymi. Skierowana przez Nią do Jezusa prośba, by pozwolił jej przeżyć to, co On sam wycierpiał na krzyżu, gdy pogrążony w męce wołał słowami psalmu 22: *Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścić*, została wysłuchana i to w sposób zaskakujący. Przez lata, a nawet całe dziesięciolecia jej wnętrze spowijał duchowy mrok.

Podczas gdy otoczenie sądziło, że motorem jej niezwyklej aktywności i owocności jej inicjatyw, jest szczególne doświadczenie Boga i płynąca stąd pociecha, ona sama musiała zmagać się z wewnętrzną suszą i ciemnością, z poczuciem opuszczenia, niemalże odrzucenia przez Boga. Żyła czystą wiarą, nie wspieraną żadnymi emocjonalnymi uniesieniami; żyła mocą wierności Jezusowi, którego nad wszystko pokochała i nie przestała kochać nawet wtedy, gdy skrył się przed nią w nieprzeniknionej wewnętrznej ciemności.

To niezwykle, a jednocześnie bolesne doświadczenie czyni ją – jak zresztą sama to określiła – „świętą od ciemności”, osobą bliską tej specyficznej kategorii współczesnych nędzarzy, którym wprawdzie nie brakuje żadnych dóbr materialnych, ale którzy pogrążeni są w mroku niewiary, zagubienia i grzechu. Matka Teresa jest kimś, kto z jednej strony zna doskonale cudowne przeżycie mistycznego związku z Bogiem, jakiego dane jej było zakosztować u progu jej nadzwyczajnego powołania. Z drugiej strony jest jednak kimś, kto nie wahał się wraz z Jezusem zstąpić do współczesnych piekieł i dzielić stan ducha i wewnętrzne przeżycia tych, którzy czują się opuszczeni zarówno przez ludzi, jak i przez Boga.

W ten sposób mamy we wspólnocie świętych osobę dokładnie na nasze czasy, w których coraz więcej ludzi godzi się na życie „jakby Boga nie było”. Ciągłe nowe wino Ewangelii Chrystusa napełniło w ten sposób aż po brzegi nowy bukłak życia jednej z nas, ludzi współczesnych. Świadek życia tej kobiety jest tak przekonujący, że tego cudownego wina Ewangelii, widoczne w jej słowach i czynach, będą mogły zakosztować całe pokolenia.

Październik 2016

Czarny protest

Demonstracje zwolenników aborcji, jakie w ramach „czarnego protestu” odbyły się na początku października w różnych miastach Polski, ujawniły z całą wyrazistością jeszcze jedną linię podziału naszego społeczeństwa. Jest to linia znacznie głębsza, niż dotychczasowe. O ile w przypadku katastrofy smoleńskiej, czy nawet Trybunału Konstytucyjnego przedmiotem sporu są fakty, decyzje polityczne i procedury prawne, w przypadku sporu o aborcję mamy do czynienia z głębokim pęknięciem o charakterze światopoglądowym. Jest to ostatecznie spór o człowieka i jego status w społeczeństwie, a więc także spór o kształt państwa prawa w odniesieniu do ochrony ludzkiego życia.

Jedno było dla tego protestu, a także dla narracji środowisk domagających się pełnej legalizacji aborcji, charakterystyczne: wyłączna koncentracja na sytuacji i prawach kobiety z całkowitym wyłączeniem poza nawias kwestii statusu dziecka poczętego. Zazwyczaj w sporach tego typu, jeśli tylko jest możliwa rzeczowa dyskusja, wszystko zależy od sformułowania właściwych pytań. Jak brzmi zatem fundamentalne pytanie tego sporu? Jest to pytanie o to, czy dokonanie aborcji może być w ogóle określona jako czyjekolwiek prawo.

Mówienie o „prawach reprodukcyjnych”, a w ich kontekście o prawie do aborcji, jest rodzajem sloganu, który bywa powtarzany nierzadko bez głębszej refleksji. Z racji, że slogan ten jest promowany przez najbardziej wpływowe światowe ośrodki naukowe, finansowych potentatów i media oraz dzięki ofensywnemu lobbingowi feministycznych organizacji pozarządowych, pojawił się on także, począwszy od Konferencji Kairskiej w 1994 r., w rekomendacjach i rezolucjach różnych agend zarówno ONZ, jak i Unii Europejskiej. Można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z rodzajem laickiego dogmatu, którego negacja czy nawet jedynie krytyczne pytania pod jego adresem, spotykają się z agresywną i wybuchową reakcją jego zwolenników i z posądzeniem o próbę zamachu na najświętsze prawo człowieka. Problem w tym, że o prawie do aborcji lub braku takiego prawa można sensownie mówić jedynie wtedy, gdy odpowie się na pytanie o status istoty, którą kobieta będąca w ciąży nosi w swoim łonie. Że jest to istota ludzka, odmienna od matki (a więc w żadnym razie część jej ciała), która chociaż zależna od matczynego organizmu, rozwija się mocą własnej dynamiki, nie ulega żadnym wątpliwości. Akurat ta kwestia nie jest sprawą światopoglądu, ale wiedzy z zakresu medycyny, szczególnie genetyki i embriologii. Skoro tak jest, to należy w tym sporze postawić jeszcze jedno istotne pytanie: Jaki byłby kształt społeczeństwa, w którym jedni ludzie otrzymaliby prawo do uśmiercania innych ludzi, jedynie dlatego, że są słabi i całkowicie zależni, gdyż znajdują się na wczesnym etapie swojej egzystencji i są być może upośledzeni?

Nie można oczywiście nie dostrzegać, że problem ten jest oczywiście bardzo skomplikowany, chociażby z racji egzystencjalnego, nieporównywalnego z żadną inną relacją związku poczętego dziecka z matką, która być może boleśnie przeżywa fakt niechcianej ciąży, upośledzenia swojego dziecka, lub – co jest najgorszą z możliwych sytuacji – stała się ofiarą gwałtu. Z tej racji właśnie propozycja karania kobiet, które dopuściły się aborcji, zawarta w zgłoszonym w sejmie projekcie, musi być raz jeszcze poddana dyskusji i rewizji, nawet wtedy, gdy słusznie podkreśla się konieczność zachowania spójności prawa. Z drugiej jednak strony mimo niewątpliwych trudnych sytuacji konfliktu pytanie o status i życie dziecka poczętego nie może być po prostu wyłączone poza nawias, uznane za nieważne bądź wręcz za atak na prawa

kobiety. Taka postawa byłaby wyrazem skrajnej arogancji, prowadzącej ostatecznie do barbarzyńskiego prawodawstwa.

Chociaż zapewne jakaś część osób biorących udział w „czarnym proteście” nie zadała sobie trudu głębszej refleksji nad istotą problemu, ulegając propagandzie mówiącej o zamachu na prawa kobiet. Stąd może wypowiedź arcybiskupa Jędraszewskiego, który określił protest jako manifestację cywilizacji śmierci, może się im wydawać krzywdząca. Jednak hasła widoczne na niesionych transparentach nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Kto z tak wyakcentowaną arogancją odrzuca jakąkolwiek dyskusję dotyczącą statusu dziecka poczętego, nie kieruje się duchem cywilizacji życia, która wyrasta z bezwzględnej szacunku dla każdego człowieka.

Listopad 2016

Testament Ojca Benedykta

Chociaż od publikacji kolejnego (i jak zapowiada jego główny bohater – już ostatniego) wywiadu-rzeki z Josephem Ratzingerem/Benedyktem XVI upłynęło już kilka tygodni, warto się nad nim chociaż przez chwilę zatrzymać. Sytuacja papieża-emeryta jest jedyna w swoim rodzaju, a szlaki prowadzące do utartych form grzecznościowych jeszcze nie przetarte, stąd też nie dziwi jego życzenie, by nazywać go po prostu ojcem Benedyktem. Zarówno przed wyborem na Stolicę Piotrową, jak i po nim Joseph Ratzinger sprawiał wrażenie osoby raczej nieśmiałej i pozbawionej jakiegokolwiek formy „parcia na szkło”. Mimo to niewątpliwie należy on do najbardziej rozpoznawalnych współczesnych ludzi Kościoła i to nie tylko w gronie jego członków, ale daleko poza jego granicami. Kto chociaż pobieżnie zapoznawał się z jego imponującym dorobkiem pisarskim, ten skłonny będzie przyznać, że jest to osoba wyjątkowa, która (co podkreśla we wprowadzeniu Peter Seewald) nie bez racji zestawiana jest w jednym rzędzie z takimi reprezentantami „niemieckiego geniuszu”, jak Lessing, Kant czy Beethoven.

„Ostatnie rozmowy” nie zostały jednak przeprowadzone w celu udowodnienia, że taka ocena nie jest pozbawiona podstaw. Wręcz przeciwnie, tym, co uderza w odpowiedziach, jakich udziela Benedykt, jest zwyczajność, normalność, prostota i wrażenie, że rozmawia się z osobą życzliwą i przyjazną, a jednocześnie nie pozbawioną poczucia realizmu, humoru oraz szczypty autoironii. Dla tych, którzy chcieliby go widzieć jako „Pancerne kardynała” może to być nawet nieco rozczarowujące. Nie oznacza to, że wywiad-rzeka z papieżem-emerytem jest

książką ckliwą, lukrowaną czy banalną. Opowiadając bez jakichkolwiek fajerwerków o swoim życiu, Benedykt pozostaje uważnym i wnikliwym obserwatorem świata i Kościoła. Zapewne nie tylko doświadczenie kilku dziesięcioleci życia w Watykanie, ale także dystans, z którego po swojej rezygnacji może obserwować rozwój wydarzeń, pozwalają mu jeszcze wyraźniej widzieć i oceniać główne problemy, z jakimi boryka się Kościół, takie jak chociażby *presja bezbożności, nacisk nieobecności wiary sięgający aż do struktur Kościoła* (s. 34). Ratzingera zawsze cechował konsekwentny realizm w ocenie sytuacji Kościoła. Chociaż właśnie z tej przyczyny wielu oceniało go jako pesymistę, a nawet ultrakonserwatystę, musi zdumiewać, jak wiele z jego intuicji okazało się prawdziwych. Dołączając w „Ostatnich rozmowach” do wywiadu z Benedyktem jego tekst sprzed ponad pół wieku, Peter Seewald pokazuje to w niezwykle wyrazisty sposób. Kto mógł poważnie traktować młodego teologa, piszącego o wyrastającym w samym centrum Kościoła neopogaństwie, w czasie, w którym z racji wysokiej liczby powołań kapłańskich jeden z biskupów niemieckich publicznie prosił Boga o zatrzymanie tego błogosławieństwa?

Z punktu widzenia obecnej sytuacji Kościoła niezwykle istotny jest fragment wywiadu odsłaniający kulisy abdykacji Benedykta: *Unik pod presją czy też ucieczka w obawie, że się nie podoła wyzwaniu – nic takiego nie miało miejsca* (s. 47). *Nie można odchodzić, jeśli ma to być ucieczka. Można odejść, gdy nikt tego nie żąda* (s. 50). Klarowne odstonięcie kulisów tego tak spektakularnego kroku rozwiewa mgłę niepewności i teorii spiskowych, które pojawiły się w ostatnich latach i nie pozostawia wątpliwości co do kanonicznej prawidłowości procedury rezygnacji urzędującego papieża i wyboru nowego papieża – Franciszka.

Ojciec Benedykt... To określenie ma, jeśli można się tak wyrazić, podwójne dno. Z jednej strony wskazuje ono na urząd, którego Benedykt zrzekł się przed trzema laty i dlatego, chociaż nie jest już „ojcem świętym” (bo tak nazywany jest jedynie urzędujący papież), to jednak pozostaje ojcem jako starzec, obdarzony niezwykle mądrością i przenikliwością umysłu. Ale właśnie jako niezwykle mędrzec i myśliciel Benedykt jest ojcem jeszcze w innym znaczeniu. Jest kimś w rodzaju ojców Kościoła z pierwszych wieków, którzy posiadali wyjątkowy dar widzenia i oceny rzeczywistości w świetle wiary i dlatego ich refleksja pozostanie w Kościele jako skarb na całe stulecia.

Czytając „Ostatnie rozmowy” trudno pozbyć się wrażenia, że jest to faktycznie pożegnanie. Ojciec Benedykt świadomie staje wobec zbliżającej się śmierci, nie ukrywając ani lęku, ani wątpliwości, ani kruchości, jaka towarzyszy mu na ostatnim etapie życia. A jednak

tym, co pozostanie po tym niezwykłym człowieku na całe pokolenia wierzących będzie jego proste zawierzenie Bogu: *Trzeba [...] mocno trzymać się wiary. On wie lepiej.*

Grudzień 2016

Buntownicy?

Nie milkną echa listu do papieża Franciszka wysłanego przez czterech kardynałów: Joachima Meisnera, emerytowanego arcybiskupa Kolonii, Waltera Brandmüllera, znanego niemieckiego historyka Kościoła, Carlo Caffarry, emerytowanego arcybiskupa Bolonii, który należał do kierowniczym gremiów Papieskiej Rady ds. Rodziny oraz Papieskiej Akademii Życia oraz Raymonda Burke, odwołanego przez papieża Franciszka z funkcji prefekta Trybunału Sygnatury Apostolskiej. List został przez jego autorów zatytułowany „Dubia”, czyli wątpliwości. Dotyczą one pewnych treści posynodalnej deklaracji *Amoris laetitia*, a szczególnie zawartej w niej nauki o małżeństwie, o sumieniu i o grzechu. Decyzja o upublicznieniu listu kardynałów, która zapadła po tym, jak papież Franciszek odmówił udzielenia odpowiedzi pytającym, spotkała się z ostrą krytyką. Oto, jak stwierdzono, wiecznie niedzisiejsi, konserwatywni purpuraci ośmielają się wprowadzać niepokój i zamęt w Kościele, wyrażając publicznie swój bunt wobec najwyższego Pasterza, sprzeciwiają się charyzmie i pastoralnej elastyczności papieża Franciszka, który stara się wychodzić naprzeciw ludzkim bledom. Uznano ich list za akt nieposłuszeństwa i buntu, za wyraz skostnienia i złej woli wobec reform, które powinny być już dawno być w Kościele przeprowadzone, a nawet za początek schizmy.

Te szablonowe i w gruncie rzeczy zupełnie chybione komentarze nie są jednak w stanie unieważnić pytania, na ile propozycje zawarte w *Amoris laetitia* są kontynuacją i rozwojem nauki Kościoła, a w jakim stopniu ją zmieniają oraz – jeżeli założyć, że dokonuje się zmiana – to czy dotyczy ona spraw drugorzędnych, czy też samego sedna nauki moralnej Kościoła. Przyczyną panującej konfuzji jest niewątpliwie niejednoznaczny i niejasny język kluczowych fragmentów adhortacji.

Czy publikacja listu kardynałów była krokiem właściwym? Odpowiedź na to pytanie może być zaskakująca, ale zwracając się do papieża ze swoimi wątpliwościami kardynałowie nie zrobili nic innego, jak tylko spełnili jego własne życzenie. Otwierając Synod Biskupów na temat rodziny 6 października 2014 Ojciec święty zacytował fragment innego listu, jaki otrzymał: *Szkoda, że niektórzy kardynałowie z szacunku dla papieża nie mają odwagi*

powiedzieć o pewnych sprawach, gdyż sądzą, że papież być może myśli inaczej. Następnie papież zachęcił wszystkich, by śmiało i bez obaw formułowali swoje opinie. List kardynałów trzeba więc postrzegać w perspektywie wspólnej troski o kwestie rzeczywiście fundamentalne oraz – co jest nie mniej istotne – o jasność i jednoznaczność nauki Kościoła. Kardynałowie to nie są wystrojeni w purpurę starsi panowie, a Kościół to wbrew pozorom nie jest struktura totalitarna, w której myślenie i wynikające z niego miałyby być zabronione lub traktowane jako wyraz buntu i nielojalności.

Czego więc dotyczą kardynalskie wątpliwości? Każde z pięciu pytań dotyczy aktualności nauki zawartej przez Jana Pawła II w adhortacji *Familiaris consortio* oraz encyklice *Veritatis splendor*. Obok pytań, czy nadal obowiązuje nauka o czynach wewnętrznie złych, które nie mogą być uznane za moralnie dopuszczalne w żadnych okolicznościach i w oparciu o żadną osobistą decyzję sumienia, znalazło się też pytanie dotyczące tego, czy rzeczywiście istnieje możliwość udzielania w pewnych sytuacjach sakramentów osobie rozwiedzionej, która, związana ważnym związkiem małżeńskim, żyje z inną osobą w nowym cywilnym związku. To nie są pytania dotyczące jedynie spraw peryferyjnych, nieistotnych szczegółów praktyki pastoralnej. Pytanie te mają bezpośrednie przełożenie na rozumienie trzech kluczowych sakramentów: sakramentu pokuty, Eucharystii i małżeństwa. Ich wyjaśnienie jest niezbędne z jednej strony po to, by duszpasterstwo osób znajdujących się w tzw. sytuacjach „nieregularnych” nie było uzależnione jedynie od prywatnych poglądów poszczególnych duszpasterzy, z drugiej zaś po to, by można było w jednoznaczny sposób przedstawić naukę Kościoła narzeczonym, którzy chcą zawrzeć sakramentalne małżeństwo.

Kardynałowie będący sygnatariuszami listu do papieża Franciszka podkreślają, że w żaden sposób nie mają zamiaru negować autorytetu papieskiego, a jedynie pragną wyjaśnienia wątpliwości, jakie wynikają z wieloznaczności sformułowań papieskiej adhortacji, która ze swoją objętością liczącą 60 000 słów jest bodaj najdłuższą oficjalną wypowiedzią Magisterium papieskiego w historii Kościoła. Pozostawanie w sytuacji niepewności nie służy nie tylko reputacji Kościoła, ale także formowaniu prawego sumienia katolików, pragnących postępować zgodnie z wolą Chrystusa i szanujących osobę Ojca świętego jako znaku i gwaranta jedności Kościoła.